

Małgorzata Baranowska

Prywatna historia poezji (II)

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5-6, 223-236

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Małgorzata Baranowska

Prywatna historia poezji (II)

10.III.1989

Zaczęło się? — Zdaniem Szymborskiej jak z makaty:

Dokąd biegnie ta napisana sarna przez napisany las?

Czy z napisanej wody pić,

Która jej pyszczek odbija jak kalka?

(Radość pisania, Wiersze wybrane 1964)

Właśnie panował strukturalizm. Zaczęłam studia i wydawało mi się, że role zostały rozdane w jednej rodzinie. Ujawniały się odpryski psychoanalizy przysypanej cegłami soc, więc długo nieobecnej. I oto Edyp z krewnymi zaczęli terroryzować wystrzelające spod lodów byty. Właściwie stało się tak raczej w nauce i krytyce, literatura mało się tym przejmowała, uniwersytet bardziej.

Szymborska nie była skłonna się już dostosować ani do Edypa w strukturze rodzinnej, ani do snów z wytłumaczeniem według recepty. Starła się utrzymać trudną równowagę między powtarzalnym a jednostkowym. Robiła uniki zasłaniając się bytem stworzonym, by się ukryć wśród wiersza. Ale pozor ten nie da się utrzymać na dłuższą metę. Czyimkolwiek głosem mówi, nazwanym czy nie, musi się okazać kimś, poetką, człowiekiem, kimś żyjącym a więc i śmiertelnym, kimś ze wspomnień (w wieczności?). Nie struktury, nie papiery, nie fabuły rządzą życiem, lecz czas:

— *To stare dzieje, ostrze przeszło
nie naruszając kości. — Nie ma za co,
mój drogi, nie ma za co. — Nie wiem
i nie chcę wiedzieć, która to godzina*

(Wieża Babel, Wiersze wybrane)

Ulotne szczęście w walce z czasem. Tylko trwanie jest istotne, a ono naprawdę nie istnieje:

W rzece Heraklita
ja ryba pojedyncza, ja ryba odrębna
(Choćby od ryby drzewa i ryby kamienia)
pisuję w poszczególnych chwilach małe ryby

...

(Rzeka Heraklita, Wiersze wybrane)

20 III 1989

Czy ironia Szymborskiej przechodzi w paradoks?

Lechonia z tomu *Srebrne i czarne* (1924):

I jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia.
Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci.

(Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczą główną...)

To coś innego. Nieporównywalnego. Pisanie sprawia Szymborskiej radość
— przeciw nicości:

Radość pisania.
Możliwość utrwalania.
Zemsta ręki śmiertelnej.

(Radość pisania, Wiersze wybrane)

To było intrygujące. W tych czasach zwracało uwagę. Studia przedstawiały literaturę jako rzecz poważną, gramatyczną, strukturalistyczną, logiczną. Co się miało za tym kryć? Bezruch. W latach sześćdziesiątych coś jeszcze zostało z lat pięćdziesiątych w tym nastroju serio.

Wybrałam się na wieczór Szymborskiej do „Stodoły”. Zobaczyłam ptasią, kruchą osobę w przelocie. Jakby nie mogła się nawet zniżyć do obciążenia sobą krzesła. W kilkoro usiłowaliśmy ją zatrzymać. Na próżno.

24 IV 1989

Wieczór Szymborskiej mógł się odbyć dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat temu.

Przeważnie ludzie okresy poezji, znajomość jej liczą od własnej młodości. Znam takich, dla których *Wolność tragiczna* (1936) to debiut Wierzyńskiego. Dla mnie *Kufer na plecach* (1964) przeczytany w paryskiej służbowce

bez elektryczności w roku 1967 (przestarzała scenka z historii czytelnictwa). Tak jak Staff zadebiutował dla mnie małym tomikiem *Dziewięć Muz* (1958), chociaż to *Wiklina* (1957) była przebojem Października.

„Wrażeniowe debiuty”, których nie wymieniłam dużo, ale, z jakimi mamy do czynienia co chwilę, powinny stanowić jeden z dowodów na względność historii literatury i tak się z minuty na minutę starzejącej, niezależnie od daty, miejsca i autora.

21 III 1989

„Wiersz jak z makaty” — w wypadku Szymborskiej będzie to zawsze tylko przenośnia, nie jak *Ballada z makaty* Białoszewskiego. Przetworzenie, ten dystans, który zrobił z makaty wiersz, zupełnie inaczej się dzieje.

Dokąd biegnie ta sarna? Dystans buduje słowo „napisana”. Podobnie w *Balladzie (Wiersze wybrane)* Szymborskiej:

To ballada o zabitej,
która nagle z krzesła wstała.

Ułożona w dobrej wierze,
napisana na papierze.

Przy nie zasłoniętym oknie,
w świetle lampy rzecz się miała.

Każdy, kto chciał, widzieć mógł.

Jeszcze nas wzywa na świadków! Nie widzieliśmy, to przecież nasza wina. Mogliśmy zobaczyć przez oświetlone okno. A my nie.

Zdarzenie przezroczyste. Niewidoczna śmierć wewnętrzna. Tutaj zamiast wyolbrzymieniem posłużyła się Szymborska zwyczajnością. Bez dodatkowych instrumentów cudowności wskazała na działanie uczuć pisząc balladę bez balladowości:

Wszystkie po zabójcy ślady
pali w piecu. Aż do szczętu
fotografii, do imentu
sznurowadła z dna szuflady.

Wielkie wydarzenia dzieją się bez dekoracji romantycznej. W nas. Dystans wobec nadmiernej ekspresji, powściągnięcie uczuć, nawet bardzo silnych, połączone z ironicznym stosunkiem do gotowych sztamp wielkich uczuć, napięcie, tragedii balladowych daje niezwykle efekt poetycki.

Żeby wyrzucić na koniec wersu, w ten sposób akcentując, takie wyrażenia jak „do szczętu” i „do imentu” i rozerwawszy ich związek z użytymi tu

najzwyklejszymi rzeczami jak „fotografia” i „sznurowadło”, zmusić nas, żebyśmy się potknęli o własną tradycję — ballady i potoczności! Już, już widzimy spalone do szczytu resztki po zabójcy, a tu nie — ograniczenie. A przecież tak łatwo się mówi: „spalę do szczytu”, „zabiję”, albo tak bywało w balladzie, ale nie u niej, nie u Szymborskiej.

Rozłączenie za pomocą umieszczenia w innych wersach tamtych wyrażen jest przy tym przewrotnie zrobione w ten sposób, że zaskakuje nas w końcu właśnie przez przyłączenie dodatkowego członu w stosunku do potocznego wyrażenia. „Do szczytu”, „do imentu” znaczy, silniej może, ale po prostu „do ostatka”. Zazwyczaj nie dodaje się określenia „do ostatka czego”. Przy powściągliwości języka Szymborskiej „do szczytu”, „do imentu” dają stosowny dla ballady jakiś jarmarczny posmak.

Niesamowite, tak skromnymi środkami tyle zrobić. To podstęp tak nas opętać. To Szymborska.

29 III 1989

Znalazłam zdjęcie Staffa z jakiegoś 54 roku może. Wydawało mi się wtedy, że poeci pochodzą z Alei Ujazdowskich. Bywały kiermasze książek i oni tam siedzieli w takich zielonych lipowych niszach. Za każdym razem siedzieli tam i chodziło się specjalnie ich oglądać, ale najbardziej Staffa, Tuwima. Czy mogłam tam widzieć Tuwima?

Zdjęcie Staffa wycięłam z jakiegoś bardzo literackiego plakatu. Dziwnie rzadka bródka. Widocznie takie mieli czarownicy. I lipowa korona.

30 III 1989

Z Alejami Ujazdowskimi później się potwierdzało — w poezji, w historii, w życiu. Tamtędy wszyscy się przechadzali. Tamtędy płynął Skamander. Na przykład Słonimski. Wydeptał ścieżkę niewidzialną. Wystarczyło się na niej zacząć. Aż do PIW-u, gdzie zamurowano jego zegarek. Bo opowiadano w marcu 1968 jak to jakiś prominent zwraca się do niego — „mój ojciec miał taki zegarek jak pański, tylko z pozytywką — a ja mam z negatywką” odpowiada Słonimski. Oczywiście autorstwo niewątpliwe, jego. On zawsze posuwał się po trasie, tyle że po marcu do „Czytelnika”.

31 III 1989

Zamurować kawiarnię! Przekleństwo ponuractwa. Teraz potworna, wszechogarniająca nuda polega również na powadze. Powaga chwili, misji, pozycji, artysty, urzędnika i nie wiadomo czego jeszcze. Poeci nie mogą temu dać rady. I Mickiewicz się przyczynia. On był poważny. Ważny sam dla siebie.

Głupie wierszyki (np. Bo mię matka moja miła / na słowika urodziła...) pisywał raczej Słowacki, o tym urodzonym słowiku, co się zmienił w kosa. Kos z zębami? Język bawiący zęby trzonowe? To by się nigdy Mickiewiczowi nie przydarzyło.

Ironia, jeśli nie — romantyczna, nie — dziejów, nie — Fatum; śmiech, jeśli nie — komiczny, nie — tragiczny z wielkim trudem przemyka się w poezji polskiej. Niewielkie szanse ma tu śmiech, który nie jest płaczem.

3 IV 1989

Lechoń także zaczął od Staffa. Jako dziecko zdolniejsze od Tuwima i Wierzyńskiego, albo może tylko obdarzone lepszym tatusiem, który zapłacił za druk tomików *Na złotym polu* (1912) i *Po różnych ścieżkach* (1914), już drugi z nich opatruje drukowaną dedykacją:

LEOPOLDOWI STAFFOWI
poecie myśli i czynu
AUTOR

Mały Lechoń (urodził się w roku 1899) *Do Leopolda Staffa* wyjaśnia, że za czyn uważa promiennosc i pogodę ducha. Już wtedy uważał zwycięstwo za coś, co może się wziąć nie z wiecznej żałoby a z jutrzhenki.

Za to, żeś jest poetą woli, siły, czynu,
Że o jutrze promiennem wśród życia śniesz mroków,
Naród Ci zasłużony da wieniec wawrzynu
I w rządzie narodowych* postawi proroków.

W tych pierwszych tomikach pełno motywów potem przez niego używanych.

6 IV 1989

Patchwork, nie poeta! Właściwie nie wiadomo, jak Lechoń zrobił nowe ze starego.

Przetrwiał dwie wojny, a mógł jako poeta całkiem obsunąć się w naśladownictwo. W morzu tandety naokoło zrobił *Herostratesa*. Może to ostatni ze starych poetów, którym udało się zmierzyć z kanonem, nie oddalać się od niego, a jednak wygrać.

18 VI 1989

16 czerwca, w piątek, oficjalnie otworzono Muzeum Iwaszkiewicza w Stawisku.

* W egzemplarzach biblioteki JBL-u jest, jak się wydaje własną dłonią Lechonia, poprawione „narodowych” na „swych największych”.

I co myślicie? Co mówią? Oczywiście, że on tam chodzi. Nawet raz podziękował ogrodnikowi za skoszenie trawy. Ten, zobaczywszy, że odpowiada [przezroczystemu] duchowi, uciekł z wrzaskiem do domu. Gdzie ma chodzić, jak nie tam.

19 VI 1989

Coś niesłychanego. Sprowadzono do Zakopanego Witkacego. Odkopano go, odprawiono tu mszę (nad samobójcą?), pochowano. Mszę, jak się okazało, może właśnie bardzo słusznie odprawiono, bo guziki, zęby itd. są podobno jakiegoś Poleszuka, który bezwolnie, w wiele lat po śmierci, opuścił Polesie i znalazł się tutaj. A tam Witkacy śmieje się w kostny kułak. To bardzo w jego stylu. Mamy, poparty wieloma pieczętkami, niechlujstwem, zbrodniczym lekceważeniem, skandal stulecia. Trzeba się tylko zastanowić czy trzeba było rujnować tamten cmentarzyk dla pompy, nawet funebris?

22 VI 1989

Aleje Ujazdowskie dla wielu są także Aleją Piłsudskiego. Świetnie opowiadała w radio Irena Eichlerówna, jak chodząc Alejami z całą pensją kłaniała się Marszałkowi na drugą stronę ulicy. Podobnie wszystkie inne pensjonarki. Odkłaniał się i każda myślała, że jej. Stefan Kisielewski w ankiecie „Kalendarza Warszawskiego” na rok 1948 — „dlaczego właśnie Warszawa?”:

Aleje Ujazdowskie i Łazienki — to nie są już tylko zielone zakątki, gdzie spędziłem dzieciństwo ja i moi rówieśnicy — to pełna pamiętek promenada całej Polski, to miejsce schadzek duchów naszej historii, jak to z genialną wrażliwością odczuł Wyspiański choć spędził w Warszawie parę tygodni swego życia zaledwie.

14 VIII 1989

Aleje Ujazdowskie to trasa romantyczna, skamandrycka. Białoszewski omijał je i Łazienki. U niego zawsze Ogród Saski. Raz w *Donosach rzeczywistości* (1973): „Ta Kalergis. Zartowa ją widziała, jak jechała w puchach, aksamitach do Łazienek” (*To wszystko jest o kulturze*). Potem w *Zawale* (1977), tylko z okazji Agrykoli:

Czy to Agrykola taka brzydka i łysa wlatuje pod górę? Tak ją zepsuli? Ale czy ona jest po prawej? Bo zdawało mi się, że po lewej. Może sprawdzić. Ale już gryczano-mleczne sufity ze światłami. Spośród Alej Ujazdowskich. Drugi spód — Marszałkowskiej. Wsiadam. Wchodzę na górę — sprawdzić Agrykolę? — sprawdzić.

Aleje — dla Białoszewskiego zawsze znaczą Aleje Jerozolimskie. Chwilami się wydaje, że tylko jako krzyżujące się z Marszałkowską, jego główną

ulicą. *Z Szumów, zlepow, ciągów* (1976): „A swoją drogą, co, może nie jestem piewczą Marszałkowskiej?” (*Dzień uprzejmy*). Dlatego też Ogród Saski.

15 VIII 1989

1. Niebezpieczeństwo braku wyobraźni. Mauersberger poddał się skostniałemu przekonaniu.

2. Niebezpieczeństwo przeinterpretowania. Mauersberger przeinterpretował świerszcza.

Z Donosów rzeczywistości: „— Wiesz, Miron, Mauersbergerowi dzwoniło w ucho przez miesiąc, poszedł do lekarza, a to był świerszcz u niego w pokoju.” *Mewa (Cytaty)*.

Białoszewski nadał zaskoczeniu właściwy wymiar. Przeniósł do swojego. Złudzeniem jest jednak dość powszechne przekonanie o jego cytowaniu z rzeczywistości. Kiedy naprawdę przeniósł to nazwał ten utwór *Cytaty*.

16 VIII 1989

W kreacji posuwał się do najdalszych granic, mistyfikując przy tym bliskość z rzeczywistością. Świadomie. Nieprawdopodobnie świadomie. Rozkładał wszystko na części jak gatunki literackie. Wiedział jak to jest zrobione. Na przykład ballada. *Ballada o zejściu do sklepu (Obroty rzeczy 1957)*.

Najpierw zeszedłem na ulicę
schodami,
ach, wyobraźcie sobie,
schodami.

Białoszewski każe nam sobie wyobrażać coś zupełnie zwykłego. Rozkazując nam to posługuje się wykrzyknikiem i do tego zwrotem sugerującym, że właściwie czeka nas coś nie do wyobrażenia. Następnie każe nam żałować, żeśmy nie widzieli, „jak ludzie chodzą”. Cała fabuła wyraziła się w prostych czynnościach.

Wstąpiłem do pełnego sklepu;
paliły się lampy ze szkła,
widziałem kogoś — kto usiadł,
i co słyszałem?... co słyszałem?
szum toreb i ludzkie mówienie

No naprawdę
naprawdę
wróciłem.

Krótkie, zrozumiałe a niespodziewane określenie „pełny sklep” utwierdza jeszcze nieballadowy tego sklepu charakter. „Pełny” to całkiem taki jak

jakikolwiek. W końcu zapewnienie o powrocie! Sądząc z nastroju powrót nie był taki znów prawdopodobny.

Coś z niczego. Piana uwewnętrznionej teorii literatury. Nie napisać ballady i napisać ją. Ta, która wyróżnia się fabułą została sprowadzona do uczuciowych wyolbrzymień, bo czyż one nie są wyróżnikiem ballady. Są!

Jak daleko można popchnąć formę? Co zrobili Szymborska i Białoszewski? Popchnęli ją w codzienności.

Tuwim zrobił to w skondensowaniu uczuciowości, wiersz *Z kroniki wypadków* (*Treść gorejąca* 1936):

Nieutulona czułość,
 Ożałobione wesele!
 Serce z miłości otruło się
 Jak panna młoda w kościele.
 Wypiła, krzyknęła i mdleje.
 Wynoszą z kościoła poblądłą...
 I ono — czego się dziwić? —
 Wypiło, krzyknęło, upadło.

Po nim już tyle było zrobione w fabularności ballady, że tamci musieli zaatakować kanon z innej strony.

Właściwie u Tuwima także szło o codzienność, bo przecież nie „posłuchajcie ludzie dziwnej opowieści” a „z kroniki wypadków”. „Wypadek” zapewnia niespodziewane wydarzenia, „kronika wypadków” związana jest nieodłącznie z gazetą codzienną. Tutaj czynności sugerujące samobójstwo z miłości w telegraficznym skrócie. Nadzwyczajne w tym wszystkim jest miejsce akcji, o którym zupełnie nie da się powiedzieć, gdzie się znajduje, choć się je wymienia. Rozdzielenie „serca” od „panny młodej” i jednocześnie złączenie z nią zostało tak zrobione, że nie wiadomo czyje to serce. Wygląda na to, że chodzi o serce panny młodej, ale pewności nie ma.

Na co się poeci ważą, kiedy się dobiorą do zdarzeniowości.

10 XII 1989

MIC – KIE – WICZ, NOR – WID, STA – CHU – RA — takie sobie hasła. Jakieś fatum ciąży nad polską krytyką. Obrzędowość, rocznicowość, amnezja?

Krytyk literacki, jako zwierzę współczesnolube, tępony był bezlitośnie przez dziesiątki lat. Po odleżeniu, wydał książkę to, w najlepszym wypadku, jeśli kryteria jego opisu nie pękły, stawał się historykiem literatury. O prasie nie mówmy. Kolejne pokolenia po prostu traciły pracę.

Francuzi codziennie reklamują takiego poetę, na przykład, jak Wiktor Hugo. Może rzadziej, ale piszą o każdym żuku i zabie poezji. Bo oni motywują własne istnienie. „Jeśli mamy świadków artystów — żyjemy”.

Tutaj inaczej. Poeta postrzegany jest jako zjawisko historyczne, ewentualnie wieszcz. Przepowiednia o nadejściu polskiego papieża przyczyniła sławy Słowackiemu (na miesiąc).

Teraz, jako poeta, ma żyć ten kto był świadkiem Stalina. No i zamiast kategorii rocznicowych mamy kategorię białej plamy.

Homer pozostanie ślepy na całą wieczność, ale u nas wszyscy nagle przejrzeni. Najlepiej widzą znów dziennikarze. Absolutne wymazanie poezji z masowych środków przekazu. Czasem coś bardzo nudno po nocy. Twarzy pisarzy nie widujemy, chyba że mówią o politykach.

11 XII 1989

Tutaj zmarłych poetów upuszcza się do grobu i odchodzi na zawsze. Czasem przedtem garść wspomnień, jakby pamiątka po tym haniebnym procederze uprzednim: poeta emigracyjny ożywał w prasie krajowej w dniu śmierci lub trochę potem, by móc znów zapaść w niebyt.

Wszyscy rzucają się krzyżem na białe plamy. Może by sobie ktoś przypomniał na przykład wiersz *Umarłe miasto* (1947):

Nie pytaj, z jakiego miasta pochodzę,
bo gdybyś Polskę wzdłuż i wszerz przejechał,
umilknie podróżny spotykany w drodze,
bo tego miasta już na świecie nie ma,
i czasem dziwnie mi, że kiedyś było
wśród wzgórz, wieżami aż obłoki tnące,
i serce księżycy w ulicach bijące.
(...)

I pamięć, i oczy, i serce zwątpiło
— choć tego miasta na świecie nie było,
z takiego miasta właśnie ja pochodzę.

Ale po co? Rozmnożeni nagle prorocy Wilna nie potrzebują szukać. Aleksander Rymkiewicz w zaświatach nie musi być niepokojony.

20 XII 1989

Poezja filozoficzna. Potem, im dalej od października, tym rzadziej używano tej nazwy. Zrobiła się, można powiedzieć, taka, jaka od początku była — nieostra.

Poeci tutaj dalej musieli zastępować filozofów. Ich myśli znakomicie wypierały nudziarstwa historyków filozofii, bo trudno ich nazwać filozofami. Czasem poeta musiał się też brać do socjologii, językoznawstwa i nie wiadomo czego jeszcze. I to właściwie jest w porządku. XX wiek wytworzył dziwnych uniwersyteckich poetów wśród masowości kultury dostępnej wtórnym lub nawet pierwotnym analfabetom siedzącym, wokół całego globu ziemskiego, przed telewizorami. I te stwory — o poetach uniwersyteckich mowa — jeszcze się sprzedaje. Dostają Nagrodę Nobla.

21 XII 1989

Ciekawe jak on się wtedy czuł? Dziwne, że wszedł, a nie unosił się nad ziemią. Niesamowity był ten upał w przeladowanej „Stodole”, kiedy Miłosz po raz pierwszy od wyjazdu z Polski wszedł na salę w Warszawie.

Ten, który na parkingu spotyka tylu innych noblistów i którego myśl była tajemnym, niewidocznym dla tamtejszych studentów szyfrem, nagle znalazł się tutaj w tym napierającym tłumie.

22 XII 1989

Najpierw ludzkość gardzi właściwie poetami, ale daje im na zabawki. Jednemu da parę groszy — Nobla i uspokaja się, że nie czyta, nie zna i nic ją nie obchodzi. Tylko skąd ona ma sumienie, skoro coś takiego jak ludzkość wcale nie istnieje? Więc po pierwsze czyta? Po drugie ją obchodzi?

Jeszcze dziwniej z nagrodą Singera. Bo on pisze jeszcze niezrozumialej, w mowie, którą sama ludzkość uprzednio zamordowała.

To nie jedyne dowody na nie-istnienie ludzkości.

Ani nie jedyne na istnienie poezji.

25 XII 1989

Wisława Szymborska *Może być bez tytułu* (w: „Puls” nieregularny kwartalnik literacki, Oficyna Pokolenie, Londyn, Wiosna 1989, nr 41, s. 7—8).

Wstrząsająco „Szymborski” wiersz. Tylko ona zdolna jest zatrzymać się w trakcie schodzenia lawiny i zadać pytanie proste, nie obliczone na doraźny efekt. Ale nie ma tu nic pocieszającego, nic trzymającego za rękę. Nie ma odpowiedzi. W poezji Szymborskiej życie rysuje się jak ciąg braku odpowiedzi. Ale za to jaki wspaniały ciąg. Ludzie prześcigają się w pytaniach. Ona nigdy nie pozwala zapomnieć, że poeta poza udzielaniem się jako medium światu i zaświatom (to nie u niej) ma obowiązki rozumowe. Może wszyscy czują,

że dzieje się coś jeszcze w tle przełomów. Życie? Natura? Jakiś czas niepolityczny biegnie mimo nas. Ale niewielu ma odwagę oderwać się od Wydarzeń. Z wiersza *Może być bez tytułu*:

Doszło do tego, że siedzę pod drzewem,
na brzegu rzeki,

w słoneczny poranek.

Jest to zdarzenie błahe

i do historii nie wejdzie.

To nie wojny i pakt,

których motywy się bada,

ani godne pamięci zabójstwa tyranów.

(...)

Nie tylko tajnym spiskom towarzyszy cisza.

Nie tylko koronacjom orszak przyczyn.

Potrafią być okrągłe nie tylko rocznice powstań,

ale i obchodzone kamyki na brzegu.

Zawily jest i gęsty haft okoliczności.

Ścieg mrówki w trawie.

Trawa wszyta w ziemię.

Deseń fali, przez którą przewleka się patyk.

(...)

Na taki widok zawsze opuszcza mnie pewność,

że to co ważne

ważniejsze jest od nieważnego.

4 I 1990

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nie poezja filozoficzna a już Nowa Fala. Wtedy były różne Nowe Fale — kina francuskiego, kina czeskiego, poezji polskiej, Barańczak, Kornhauser, Zagajewski.

Ci skupiali się na odpowiedziach. W granicach rzeczywistości. Niewygodnych dla władzy i fascynujących dla rówieśników.

Krynicki od razu zajął teren niczyj, bo najbardziej poza publicystyką, ale wkręcał się niechcący (chcący?), podświadomie (świadomie?) w afery z rzeczywistością polityczną czy jak ją nazwać — zewnętrzną?

To się zmieniło, albo mocno wypukliło. Dzisiaj Barańczak grawituje w stronę metafizyki. Krynicki dalej robi wszystko, by nie pożarła go nicość. Zagajewski stał się Europejczykiem (jeżdżącym na profesorskie saksy do USA).

Nie martwią się tym, co przez lata narobili ich epigoni. Bo zresztą dla czego mieliby się martwić. Bywają takie kierunki lub osobowości, których naśladowcy są naprawdę męczący, a nawet groźni. Epigoni,

patrząc na nich, walczyli z biurokracją i nowomową posługując się uproszczeniem, które sprowadzało życie tutaj do pyskówki z jakimś tam przemijającym urzędnikiem czy drobnym objawem wielkiego systemu. Naśladowali język dzienników, uważając, że naśladują poetów, i tępili, w zgodzie z (jakże czystym) sumieniem, przejawy prywatności, jako nie na czasie. Nie zważali na fakt, że prywatność zawsze była przeciw władzy. Była tępiona przez nią jako objaw niezaangażowania, albo, co gorsza, zaangażowania gdzieś poza kontrolą. To chyba polega na niezrozumieniu czym tu była (i jest) kontrola.

Barańczak wiedział to od początku. Teksty zawarte potem w tomie *Czytelnik ubezwasnowolniony*, ukazujące się przez całe lata siedemdziesiąte, odkrywają straszliwe postęпки języka zdemoralizowanego. Barańczak jest filozofem lat siedemdziesiątych także w poezji. Widać w tym i socjologię — taka była potrzeba, ale Barańczaka ona nie zżarła w całości.

Doraźne rozpoznanie miało zawsze w poezji Barańczaka jakieś, u nikogo innego nie spotykane, zaczepienie w rzeczywistości cielesnej — dosłownie. Bo co jest pejzażem *Jednym tchem* (1970) i *Dziennika porannego* (1972) — ludzkie ciało.

5 I 1990

Czy ktoś mógł serio przewidzieć, że Peiper będzie miał ucznia? Tak zdolnego! Ten białowłosy, zagubiony człowiek barów mlecznych, przemykający Duch Krakowskiego Przedmieścia, jeden z dziwaków Warszawy pochodził z awangardy krakowskiej.

W latach sześćdziesiątych wydawał się hasłem „miasto-masa-maszyna”, a jego poezja gdzieś ukryta, znikła. Dziwny sztandarowy poeta, którego poezji nie było można nawet poznać, bo właściwie gdzie. Dzieła ukazały się potem.

W mały tomik z serii *Generacje* zaangażowani byli Jerzy Leszin-Koperski, Ryszard Krynicki (właśnie ten uczeń), Andrzej K. Waśkiewicz. Dochód na Zamek.

W wieczór poezji 2 maja 1972 roku: Janusz Sławiński i Zbigniew Zapasiewicz. W tomiku są dwa zdjęcia przed i po-wojenne. Tajemnica pod amarantową bibułą to fotografia powojenna — ducha?

Peiper przeżył sam siebie. Podobno na wielkiej kupie starych gazet.

11 III 1990

To się nigdy nie skończy! Wystawa *Żydzi — polscy* w Zachęcie. Właściwie lamus. Bo to, co zostało, a nie, co dobre. Fatalne obok ciekawych. Więc jednak, jak w muzeum etnograficznym?

Szok przy białej strzałce, na *Drzwiach gnieźnieńskich*, wskazującej Żyda. Dalej jeszcze lepiej się uwidoczniła dwuznaczność tej koncepcji i niemożność zakończenia, choćby nawet w wieczności, na przykład kwestii asymilacji.

Wchodzę do sali nazwanej *Wśród Polaków i jako Polacy*. Widzę przeciwną ścianę całą w portretach. I proszę. Wśród nich rzuca mi się w oczy portret Słonimskiego.

Słyszę wyraźnie, zewnątrz, fizycznie i wewnątrz głos Słonimskiego, jak mówi to, co on sam puścił w obieg dwadzieścia dwa lata temu, w marcu: „byłem chrzczony, ale się przechrzczep nie przyjął” — czy to się nigdy nie skończy?

I tak w dobrej wierze w równych rzędach tam sobie wiszą na obrazach? Słonimski miał nieprawdopodobny zmysł skrótu.

W poezji niestety często porzucał skrót na rzecz rozlewnych obrazów. Po stronie sztuki trzeba mu zapisać „bez”. A że nieco zbyt, dzisiaj, liryczny, to co? Został w sztambuchu dwudziestolecia:

I tak się jakoś stało,
 Że bez tak pachniał — jak bez,
 I słowo „pachnieć” pachniało,
 I łyzy były pełne łez.

(Żal)

12 III 1990

Słonimski widział odwrotną stronę rzeczy. Umiał tym rozśmieszyć i zabić. Przynajmniej tak się zdawało facetom całkowicie pozbawionym dowcipu.

24 III 1990

Barańczak widzi coś pod spodem, poza powierzchnią człowieka, pod skórą? Też. Ciało ciała i ciało historii. Katastrofę, która nie zawsze się uzewnętrznia. Patrzy spojrzeniem stąd, z Europy Wschodniej (Środkowej?).

W wierszu *Po przejściu huraganu „Gloria”* (t., *Atlantyda*, 1986) spotyka się kilka osób. Chcą sprzątnąć po huraganie: „pani Aaron” — po holokauście, „pan Vitulaitis” — po zesłaniu, „pan Nhu czy Ngu” — po przepłynięciu morza łódką.

Właściwie najbardziej przerażające jest to, że bez wahania rozpoznajemy i rozumiemy rzeczy, które powinny pozostać niezrozumiałe — fantastykę Bułhakowa, wiersze Barańczaka o śmierci kobiety w kolejce czy o ludziach na ulicy noszących wszędzie ze sobą pamięć tyranii i śmierci:

W wierszu *Po przejściu huraganu „Gloria”* (t., *Atlantyda*, 1986) spotyka się kilka osób. Chcą sprzątnąć po huraganie: „pani Aaron” — po holokaucie, „pan Vitulaitis” — po zesłaniu, „pan Nhu czy Ngu” — po przepłynięciu morza łódką.

Właściwie najbardziej przerażające jest to, że bez wahania rozpoznajemy i rozumiemy rzeczy, które powinny pozostać niezrozumiałe — fantastykę Bułhakowa, wiersze Barańczaka o śmierci kobiety w kolejce czy o ludziach na ulicy noszących wszędzie ze sobą pamięć tyranii i śmierci:

(...) Tuż obok pan Vitulaitis na skraju
chodnika ogląda z namysłem pień, ofiarowuje się nazajutrz
z pomocą i elektryczną piłą, przydadzą się lata praktyki — żartuje — w tajdze. (...)

Co dla poetów obowiązkiem, dla czytelników może być objawem zatrucia?
Podejrzana łatwość rozumienia nieszczęść — czy to na zawsze?